

A jeszcze twórczość blacharzy i kowali wiejskich: kotły, kubły, wiadra, łopaty, grabie... sami sobie dośpiewajcie. Wracam po raz trzeci i, mam nadzieję, że ostatni, do drewna. Tu kupowało się dla mnie obręcz. Chłopcy obręczą się nie bawili, chyba bardzo mali. Teraz nieznana jest ta zabawka, zresztą bardzo prosta: drewniana obręcz z łuczywa o szerokości 6–7 cm, średnicy 60–80 cm, pomalowana zwykle na żółto, i dwie pałeczki służące do popychania obręczy i kierowania nią. Najlepiej biegano się z obręczą po długich parkowych alejkach.

Często bywaliśmy w rozległym parku Bernardyńskim usytuowanym malowniczo u stóp Góry Zamkowej w zakolu Wilenki, która niedaleko stąd wpadała do Wilii pod mostem na ulicy Antokolskiej. W parku tym było nieco atrakcji, ale największe w zimie! Cały obszar parku zamieniał się w ślizgawkę. Była doskonale zaprojektowana: szeroka kolista bieżnia dla wszystkich, osobne placyki do jazdy figurowej i wszystko to otaczający tor dla szybkobieżnych panczenistów, szatnia i wypożyczalnia łyżew. Całość oświetlona, ubrana jodelkami i rozbrzmiewająca muzyką z megafonu.

Chłopcy, jeśli już coś toczyli, to po męsku, jakieś koło żelazne, np. fajerkę. No i jo-jo. Szał na jo-jo to wczesne lata trzydzieste. Jest to kółko kształtem przypominające oponę, najczęściej drewniane. Wzdłuż obwodu (bieżnika) znajduje się rowek, a w nim nawinięty sznurek. Trzyma się za koniec sznurka, a poruszając ręką w górę i dół sznurek rozwija się i nawija, a kółko lata w rytm poruszającej go ręki. Teraz można to zrobić z kółka po plastrze lekarskim. Każdy musiał mieć jo-jo, więc i my je kupiliśmy.

Długo trwało to kręcenie się po jarmarku, więc wybaczcie, jeszcze chwila cierpliwości i oto przystępujemy do najważniejszego sprawunku: wybieramy nowy wóz drabiniasty, bo zeszłoroczny jest już za mały i połamany. Wóz jest piękny, polakierowany, koła mają szprychy (również drewniane) oraz metalowe obręcze; z przodu umocowany dźwąg – dyszel zakończony uchwytem. Kupujemy i ładujemy się z licznymi pakunkami do dorożki. Dla informacji: podróż do domu (około czterech kilometrów) kosztowała półtora do dwóch złotych. Trzeba było umawiać się z dorożkarzem o cenę, zanim się wsiadło.

Zosia i Tadzik też mieli wózek, więc bawiliśmy się razem w konie, przewożąc „towary” i wożąc się wzajemnie, póki się w nim mieściliśmy. A że swój wózek zabraliśmy do Ołony, doskonale mieścił się w nim trzyletni Duduś. I uwielbiał być wożonym, a ja uwielbiałam go wozić, wyobrażając sobie, że jestem koniem. Aha, były i lejce: długi, gruby bawełniany sznur zakończony na obu końcach uchwytyami. Zakładało się go na kark i pod ramiona. Jeszcze trzeba było nauczyć Dudusia kierowania koniem i jazda. Bata mu nie dałam... Przewodziłam malcowi też w innych zabawach.

Nasi gospodarze byli bardzo sympatyczni. Pamiętam zwłaszcza panią Kotecką, która nieraz siadywała z nami na ganku, gdy w godzinach popołudniowych jadaliliśmy tam podwieczorek. Głównym podwieczorowym daniem na wsi były zawsze jagody. Świeże, prosto z lasu. A dostarczycielami ich stały się wiejskie dzieci, które dobrze wiedziały, gdzie i kiedy mogą spieniężyć swój trud. Wyglądały tak, jak i w Łoszy – biednie ubrane, bose. (Dziwiłam się jak można boso chodzić po lesie), ale koszyczki miały schludne, wyłożone liśćmi. Mama sownie je wynagradzała za wszystko co przyniosły. A więc w czerwcu pyszne, duże, aromatyczne poziomki. Kto chciał dostawał do nich śmietankę i cukier, ale najlepsze były *au naturel*. W lipcu czernice (czarne jagody) – wtedy chodziliśmy stale z czarnymi buziami i językami. Potem maliny – te leśne, słodkie. Wtedy lasy rosły jeszcze w sposób naturalny, spontaniczny, więc wszystko i jagody i grzyby były – jak teraz mądrze się mówi – ekologiczne. Nie znaleźliśmy tego słowa, wystarczał nam ich wyborny smak i aromat. A w końcu sierpnia borówki.

Ze wszystkich konfitur na świecie najpyszniejsza jest poziomkowa. I tam, na miejscu, mama z Janką od razu je smażyły. Próbowалаm to robić jeszcze parę lat temu ze zmęczonych w plastikowych pudełkach poziomek. Szkoda fatygi i pieniędzy. Borówki na cały rok (20–30 litrów) robiło się już w domu, tu za mało było miejsca na taki przemysł.

Lubiłam zaglądać do kuchni i zawsze podziwiałam – wiecie co? Ogromną ilość much – aż szumiało w powietrzu, brzęczało i bzykało, bo dołączały się do chóru pszczoły i osy. Nie przeszkadzały im wysychające lepy, a owady widać nie bardzo przeszkadzały dziewczynom, bo jakoś